



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

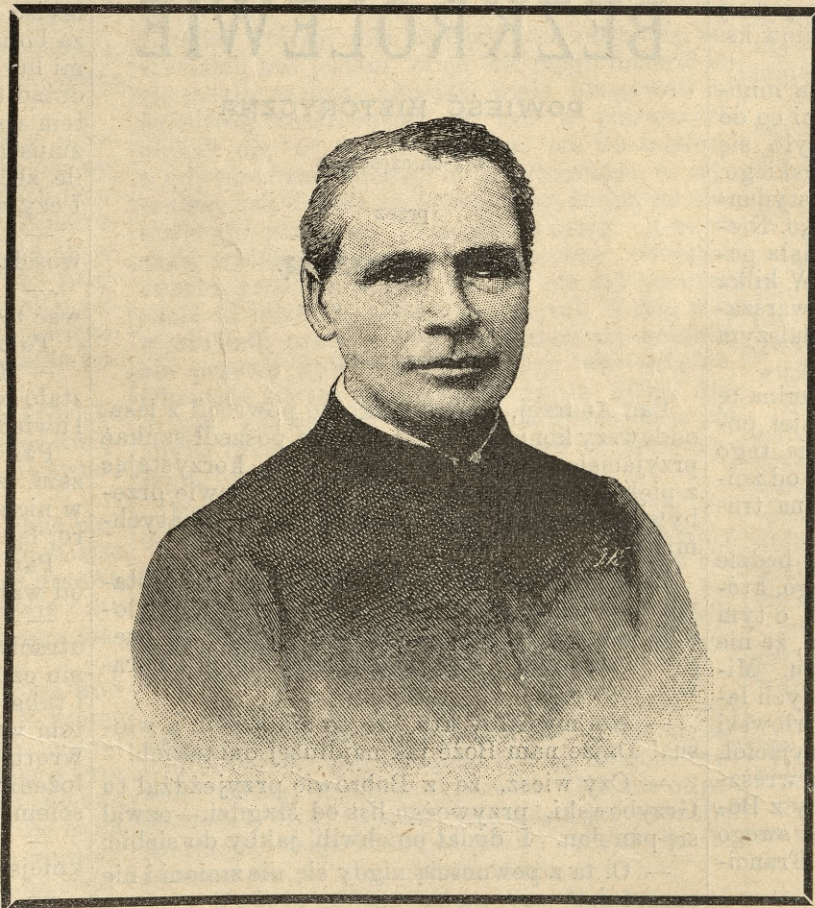
W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowiezza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

Ks. Franciszek Krupiński.



*Ks. Franciszek Krupiński.*

pląskiego, po ukończeniu gimnazjum wstąpił do zakonu OO. Pijarów w Opolu w 1852. Krótko jednak tu przebywał, bo już w r. 1853 wstępuje do Akademii duchownej w Warszawie. Równocześnie jest słuchaczem ówczesnej Akademii medyczno - chirurgicznej, gdzie z zamiłowaniem studjuje nauki przyrodnicze. Ukończywszy w r. 1858 studia duchowne, zostaje profesorem zgromadzenia OO. Pijarów; po sekularyzacji zakonów objął obowiązki rektora kościoła po-pijarskiego w Warszawie i na tem stanowisku pozostał do końca życia.

Już od młodości objawiał ś. p. Krupiński pociąg do studyów poważnych i do naukowego badania i zagadnień społecznych. Studyowanie nauk przyrodniczych, spotęgowało jeszcze to zamiłowanie. Około r. 1860-go wydał przekład „Historii filozofii.” Alberta Schwelera, pomnożony obszernym dodatkiem oryginalnym; była to pierwsza próba wydania w polskim języku historii filozofii krajowej. Z dalszych prac w tym kierunku wymienić należy: „Zarys ustawy angielskiej” według niemieckiego dzieła Dawida Ashera, „Przyszłość filozofii polskiej,” „Szkolę pozytywną,” „Historję naturalną dla młodzieży,” „Logikę” Baina i tegoż autora „Naukę o wychowaniu” i wiele, wiele innych.

Zawód publicystyczny nie był mu również obcym. W r. 1865-ym wstępuje do redakcyi „Gazety War-

Ze śmiercią ś. p. księdza Franciszka Krupińskiego, byłego rektora kościoła po-pijarskiego i byłego prefekta gimnazjum IV-go warszawskiego, poniosło społeczeństwo nasze bardzo dotkliwą stratę. Był to prawdziwy kapłan myśliciel, który nie zasklepiając się li tylko w kole obowiązków swego powołania, przez cały ciąg pożytecznego swego żywota, słowem i pismem pracował na naukę, na uszlachetnienie swego społeczeństwa. Przed kilku miesiącami świat naukowy warszawski obchodził 40-letni jubileusz jego na niwie literacko-naukowej, dziś składa na świeżej mogile zmarłego kwiaty wdzięczności za niezapomniane zasługi, za żywot pełen pracy i poświęcenia dla bliźnich.

Ś. p. ks. Franciszek Krupiński ujrzał światło dzienne w roku 1836 w mieście Łukowie, gubernii Siedleckiej. Początkowe wykształcenie pobierał w mieście rodzinnem, tam też skończył gimnazjum w 16 roku życia. Czując od wczesnego już wieku powołanie do stanu ka-

szawskiej,“ gdzie wspólnie z s. p. Adolfem Pawińskim, podówczas docentem b. Szkoły Głównej, prowadził dział polityczny. „Po zamknięciu numeru“—pisze autor wspomnienia o s. p. ks. Krupińskim w „Gaz. War.“ „współpracownicy tacy, jak Kenig, ks. Krupiński, prof. Pawiński, mecenas Skibiński, Korotyński i inni, całemi godzinami rozprawiali o wypadkach politycznych w Europie; nieraz z tych rozmów wyłaniała się jaka myśl głębsza, która posłużyła za wątek do napisania nazajutrz artykułu, który w mieście był przedmiotem rozmaitych komentarzy i uwag.“ Prócz artykułów treści politycznej pojawiały się stale na szpaltach tej gazety „Listy ze starego miasta.“ Działalność publicystyczną rozwijał s. p. ks. Krupiński i w innych pismach, jak: w „Tygodniku ilustrowanym“, „Bibliotece warszawskiej“, „Więcu“ i t. d. Żywe rozprawy zaś wywołała rozprawa p. t. „O romantyzmie i jego skutkach“ drukowana w „Ateneum“ w 1876 r. Autor krytykuje w niej surowo—może nawet zbyt surowo—nowych poetów z epoki romantycznej, stając jawnie i otwarcie po stronie pozytywistów.

W 1870 r. ks. Krupiński wstępuje na nową arenę działalności publicznej. Obejmuje bowiem stanowisko prefekta gimnazjum IV-go w Warszawie. Zawód nauczycielski ukochał szczególnie zacy kapłan. Zyskał też gorącą miłość młodzieży, której setki wychował ku pożytkowi kraju.

Młodzież kochała też swego przewodnika duchowego serdecznie. Dwadzieścia lat przeszło pracował zmarły na tem polu. Dopiero rozwijająca się sercowa choroba zmusiła go do opuszczenia nauczycielskich obowiązków.

Rzucony na łożo boleści zmuszony był ks. Krupiński prowadzić życie odosobnione. Wówczas w skromnym mieszkaniu, na drugim piętrze w gmachu po-pijarskim, obok gimnazjum realnego, gromadziło się grono jego przyjaciół. Rozprawiano nieraz gorąco o sprawach bieżących. W dyskusyi, niestety, chory już nie mógł brać udziału, bo go mówienie męczyło.

Wśród tych chwil przykrych s. p. ks. Krupiński miał jedną jasną chwilę. Na początku b. r. „Kur. Codz.“ rzucił myśl uczczenia jubileuszu zacy kapłana. Myśl ta znalazła w jednej chwili serdeczny oddźwięk wśród b. uczniów ks. Krupińskiego.

W ciągu kilku dni redakcja otrzymała mnóstwo listów z najrozmaitszymi projektami co do programu jubileuszowego święta. Odybyło się kilka zebrań b. uczniów s. p. ks. Krupińskiego, na których uchwalono złożyć fundusz na stypendyum imienia ks. Franciszka Krupińskiego. Niebawem redakcja „Kur. Codz.“ otrzymała pozwolenie władzy na zbieranie składek. W kilka tygodni b. uczniowie IV-go gimnazjum warszawskiego złożyli 1,000 rb.—a składki w dalszym ciągu napływają.

„Kuryer Codzienny“ słusznie przypomina tę sprawę, bo „zgon znakomitego kaznodziei powinienby przyspieszyć urzeczywistnienie tego zamiaru, posiadającego wartość trwalszą od znikomych wieńców, składanych zwykle na trumnie.“

Istotnie to stypendyum dla młodzieży będzie najgodniejszym pomnikiem na grobie tego, który tę młodzież tak kochał, który myślał o tym funduszu tak się cieszył, a bolał nad tem, że nie ujrzy już owoców tego pięknego zamiaru. Mimo bowiem wysiłku tak uczonych i zacnych lekarzy jak dr Baranowski, Pawiński, Orłowski i Sliwicki, mimo troskliwej opieki przyjaciół, życie zacy kapłana gasło powoli, aż wreszcie kosa śmierci je podcięła. Pojednany z Bogiem, i dysponowany na śmierć przez swego przyjaciela ks. Busiakiewicza, umarł ks. Franciszek Krupiński d. 16 b. m.

Z jego zgonem schodzi do grobu jeden z ostatnich członków zgromadzenia Pijarów, które tak piękną kartę ma w historii naszego szkolnictwa. S. p. Krupiński całym pięknym żywotem świadczył, jak drogą mu była tradycja Konarskich, Kopczyńskich i Piramowiczów. Szedł zawsze śladami tych zacnych i uczonych kapłanów, jako przewodnik młodzieży, która się zwracała do

niego nieraz po radę nawet po opuszczeniu ław szkolnych, — wreszcie jako krzewiciel wiedzy, której zawsze służył wiernie i wytrwale. Czesz za to pamięci zacy kapłana!

A. D.

## PRZED BOGIEM.

**A** gdy przed Bogiem na sąd duch mój stanie,  
Rzeknę Mu: „Panie!

„Znasz-li ten bujny, dziki chwast co rośnie,  
Przy drogach wiejskich o wiosnie,  
„Co ledwo słońce przygrzeje kwietniowe,  
Podnosi głowę,

„I w niebo złotem wpatruje się okiem  
W skupieniu cichem, głębokim?  
„Co, choć go depcą ludzie, miażdżą koła,  
On zawsze zdoła

„Nowemi pędy wystrzelić z korzenia  
Niepomny swego cierpienia  
„I, byle patrzeć mógł w niebios błękity,  
Trwa niespożyty?...

„Jam jako chwast ten deptany, miażdżony,  
Lecz w górne sfery wpatrzony,  
„Nie dbam, że losy łamią mię i ludzie,  
Żyję w mym trudzie,

„A że się krzepię w ideałów niebie,  
Odrzucisz-że mię od siebie?...”

Wanda Krasuska.

## BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

Pan Andrzej, który tylko co powrócił z lasu, oddawszy konia pachołkowi, sam poszedł szukać przyjaciela. Ponieważ pan Jan, korzystając z pięknych dni jesiennych, wciąż prawie przebywał w sadzie, więc i on udał się tam natychmiast.

Znalazł go na trawie pod drzewem, w postawie napół leżącej; okiem zamysłonem wodził dokoła, ale pan Andrzej spostrzegł od razu, że czegoś posmutniał. Sam usiadł także obok na trawie, mówiąc:

— No, myślałby kto, że to nie jesień, a wiosna! Dajże nam Boże jak najdłużej dni takich!

— Czy wiesz, że z Bobrowic przyjeżdżał tu Grzybowski, przywoząc list od Magdzi.—ozwał się pan Jan. I dodał po chwili, jakby do siebie:

— O, ta z pewnością nigdy się nie zmieni i nie zapomni...

— No, a gdzież to zmian dopatrzył? — spytał pan Andrzej zdziwiony.

— Co tam, lepiej nie mówić, — odrzekł pan Jan. — Widać już tak być musi, by czas przynosił zmiany i w rzeczach i w ludziach...

— Nie cię nie pojmuję, — rzekł pan Andrzej, ruszając ramionami.

— To i lepiej, mówmy o czem innym. Jeszcze ci nie powiedział, że mię Grzybowski zrazu wziął za nieboszczyka, — dodał z uśmiechem.

— To głupiec dopiero! I zkąd mu to przyszło?

— Tu przecież ludzie mieli mnie już za niezyczącego; nie dziw też, że ten biedak przelakł się, gdy mię obaczył. Czy jedziesz jutro do Bobrowic?

— Jadę, bo mi panna Magdalena kazała przyjechać koniecznie. Toż się ucieszy dopiero, gdy ciebie ujrzy! Dość ona się napłakała nad tobą, i jeśli się wybrał na Ruś, to najwięcej, by ją uspokoić, bo nie mogłem patrzeć na jej lzy, — gdy miłuję ją szczerze, jak każdy, co ją bliżej pozna, musi ją miłować.

— Tak, kochaj ją wiernie, bo ona warta tego, — odrzekł pan Jan. Nigdy nie zapomnę, com jej winien... A i tobie nie zapomnę nigdy, — dodał, ściskając mu rękę, — żeś pamiętał o mnie wtedy, kiedy myślałem, że mię wszyscy się wyrzekli i opuścili.

— Zbyt wielką wagę temu nadajesz, — rzekł pan Andrzej spokojnie, — jazda na Ruś, to przecież nie żadna niepospolita impreza...

Obaj umilkli na czas jakiś; pan Jan wciąż zdawał się zamyślony i posępny.

— Radbym wiedzieć, co za wiatr powiał na ciebie? — ozwał się pan Andrzej, spozierając na towarzysza. — Z rana byłeś dość wesoly, a teraz nie wiem czego się zasepiłeś. Pomnę ja jeszcze z dawnych czasów, jakieś to łatwo się zapalał i równie łatwo wpadał w zniechęcenie, — czyżby i teraz tak samo?

— Strasznie mi się dalekie zdają owe czasy, — rzekł pan Jan z uśmiechem. — A ja ci tylko to powiem, że człowiek, który stał już u progu śmierci, nie wpada o lada co w zniechęcenie, bo w owej chwili tak jasno widzi co małe, a co wielkie, co warte tego, by za nie życie położyć, a co nie, że żadne kazania, ani nauki tego nie dokażą. Ot, tak zupełnie, jakby mi kto nagle oczy otworzył i powiedział: patrzaj, jakieś ty nieopatrznie trwonil i rozrzucił to, co powinno być zachowane dla czegoś wyższego i świętszego. Uwielbiałeś pojedynczych ludzi i gotów byłeś iść za nimi na ślepo, ledwie nie uważając ich za bohaterów, kiedy byli tylko ludźmi, lepszymi lub gorszymi, ale zawsze ludźmi. Co prawda, dotąd to i czasu nie miałem zastanawiać się nad tem wszystkim, ale teraz, kiedy mię niemoc zmuszała do spoczynku, mogłem myśleć o tem, ile zechciałem, bo mi nie nie przeskadzało. I czy wiesz o czem myślałem, gdys przyszedł?

— O czemże? — spytał pan Andrzej z ciekawością.

— Oto, że ze wszystkich rzeczy warto miłować tylko to, bo przynajmniej nie zawiedzie!

To mówiąc, wskazał ręką dokoła siebie.

— Tak, — ciągnął dalej, — ze wszystkiego zostało mi tylko to, i temu oddałem całą miłość i uwielbienie, dawniej tak rozrzutnie rozpraszane!

Pan Andrzej został poruszony do głębi wyrazem, z jakim wyrzekł owe słowa. Brzmiała w nich jakaś namiętna, serdeczna nuta, w której łączyły się miłość i tęsknota.

Pan Jan ciągnął dalej głosem przytłumionym od wzruszenia:

— Czyś ty nigdy nie doznawał obawy, że utracisz kogoś bardzo miłego sercu? Jam to samo czuł przez cały czas, gdym był na obczyźnie i taka mię nieraz okrutna tęsknota ogarniała za tem wszystkim, że mi się dusza rwała do powrotu. Kto raz choćby znalazł się w takim położeniu, ten dopiero pojmie, jakim nieszczęściem jest podobna strata!

— Myślę, że ci się wszystko dokoła teraz piękniejszym zdaje, — rzekł pan Andrzej.

— W pierwszych dniach po powrocie, tam myślał, że mi się do nieba dostał, takie mi wszystko piękne się wydawało. Dość odetchnąć tem powietrzem, a siły i zdrowie powrócą niechybnie!

Rozejrzał się dokoła po niebie i ziemi, na którą już zaczęły padać długie cienie wieczorne, a potem, wstawszy, pochylił czoło, jakby oddawał pokłon komuś niewidzialnemu.

Pan Andrzej powstał także i obaj szli czas jakiś w milczeniu obok siebie, podążając ku domowi, aż wreszcie pan Jan, uściskawszy rękę przyjaciela, rzekł do niego głosem dziwnie poważnym:

— Bracie, teraz już wiem, komu mam życie poświęcić...

— Widzę jednak, żeś darmo utrzymywał, iż się odmienił, — rzekł pan Andrzej po chwili, z uśmiechem przykładając mu rękę do serca. Zawsze to samo gorące serce, zawsze po dawnemu bije!

— O, co do tego, toś się nie omylił, — odrzekł pan Jan, — chyba wtedy ono ostygnie, gdy ja żyć przestanę, bo mię już takim Bóg stworzył, że nie nie potrafię czynić na zimno i z wyrachowaniem, — gdy się czemu oddam, to całą duszą. Ale pewien jestem, że serce moje bije dla tego co warto, co nigdy nie zmaleje w moich oczach, jak inne zmało. Czy pojmujesz mię teraz?

— Pojmuję, — odrzekł pan Andrzej, kładąc mu rękę na ramieniu. — Jesteś teraz naprawdę człowiekiem.

Magdzia tymczasem nie zasypiała sprawy; niedługo potem Grzybowski wysłany został do Krakowa z listem do Ewy. Powróciwszy z tamtąd, opowiadał później pani Katarzynie w te słowa:

— Powiem waćpani, że nawet nie myślałem, że panna Ewa tak się ucieszy tym listem, bom ja sobie wcale co innego kalkulował z tego częstego bywania pana Żelskiego...

— Że też waćpanu tylko jakieś głupstwa do głowy przychodzą! — ofuknęła go gospodyni. — Wszak-ci to ona niebożatko po całych dniach płakała i tęskniła...

— Widzę ja to, widzę, ale cóż, kiedy ludzie tam coś bąkali, że pan Żelski niby smali do niej cholewki, — rzekł Grzybowski, pokręcając węsą.

— A niedoczekanie jego! niech szczerze! — zawołała znowu w burzeniu.

— Ale powiadam waćpani, — ciągnął dalej Grzybowski, że biedna paniuszka tak się ucieszyła po przeczytaniu onego listu, że aż jej ręce się trzęsły z wielkiej radości, a oczami to tak na mnie wdzięcznie spozierała, że nie żał mi było tej jazdy do Krakowa, bo człowiek przecie nie kamień, ma czucie...

Gdy chorąży wyjechał z domu, Magdzia natychmiast dała znać przez pana Andrzeja bratu, żeby przybył się z nią widzieć. Dla tem łatwiejszego zachowania w tajemnicy ich spotkania, było umówionem, że się zjedzą w sadzie, gdzie Magdzia miała wyjść do pana Jana.

Był to piękny dzień jesienny; wszystkie drzewa odziały się w złote lub purpurowe barwy; ostatnie motyle uwijały się pomiędzy kwitającymi już badyłami i ziołami, kalina tylko stała ustrojona w korale, a słońce, rzucając łagodne światło przez żółtkie liście, złościło białe nici pajęczyn, ulatujące w powietrzu. Cisza i spokój panowały dokoła; tylko wróble ćwierkały na wierzchołkach jabłoni, a z dala dochodziło pianie koguta.

Pan Jan podążał znajomą ścieżką, na którą za każdym powiewem wiatru sypał się deszcz zwiedłych liści; w trawie dokoła odzywały się świerszcze polne, cykając wesoło do słońca.

Szedł dalej w głąb sadu i dziwna jakaś błogość napelniała jego serce na widok tych miejsc znanych, a dawno niewidzianych. Stare drzewa zdawały się spoglądać na niego przyjaźnie i życzliwie, jako dawni druhowie, ocieniający niegdyś jego dziecianną głowę.

Od lasu pobliskiego płynęła silna, zdrowa woń żywicy i od czasu do czasu słychać było z tamtąd wesołe głosy dzieci, pasących bydło. Stanął i zaczął się przysłuchiwać tym głosom i tym szmerom, które go otaczały; zdawały się one szeptać: „Otoś znowu powrócił do nas, bo ci na szerokim świecie było tęskno za tem wszystkim, co tu widzisz dokoła. Bo i gdzież na świecie mogło ci być tak dobrze jak tutaj?”

Wreszcie ujrzał zdala wśród drzew Magdzię. Biegła, wyciągając ku niemu rączki z daleka, uśmiechnięta, zdyszana i szczęśliwa.

— Janku, Janku! — zawołała, rzucając mu się na szyję uradowana i wzruszona, — jakżem szczę-

śliwa, że cię widzę wreszcie! Ach, Boże! pomyśleć tylko, żeś był tu niedaleko, a ja cię tak długo widzieć nie mogłam.

— Moja dobra Magdziu! — wyrzekł tylko, ściskając mocno jej rączkę w obu dłoniach.

— Chodźże tu, do tej ławeczki pod lipami, — rzekła Magdzia i pociągnęła go ku ławce. — Wszak pamiętać musisz to miejsce?

— O tak, pamiętam dobrze; tu zawsze matka lubiła siadać wieczorem — odrzekł pan Jan.

Skoro się tam znaleźli, Magdzia spojrziała mu w twarz serdecznie i łzy zakręciły się jej w oczach.

— Mój Boże, — rzekła z żalem, — jakże jesteś blady! Musiałeś wiele wycierpieć, a myśmy nawet o tem nic nie wiedzieli!

— Nie płacz, siostrzyczko, — rzekł pan Jan, — dość już i tak napłakałaś się z mojej przyczyny. Jestem pewny, że tylko twoje modlitwy wyrwały mię śmierci, która już na mnie czyhała. Ale też niejeden raz, kiedy mi gorączka różne przed oczy stawiała obrazy, zdawało mi się, że widzę twoje litościwe wejrzenie i tak mi wtedy było dobrze, jakbym już naprawdę był tutaj z wami, w domu rodzinnym. Jak tu pięknie teraz, — dodał po chwili, rozglądając się w około, — a przecie nie się nie odmieniło, wszystko tak jak dawniej...

— Ale dlaczegoś nam nic nie doniósł o sobie, Janku? — ozwała się Magdzia. Tyle nas to leż kosztowało.

— Jakto? — nie sądziłem, żeby prócz ciebie, jeszcze ktoś inny troszczył się o mój los...

— Jak możesz mówić coś podobnego? — przecie Ewcia tak samo się niepokoiła i nawet już znowu gadała o klasztorze, bo myślała, żeś zapomniał o danem przyrzeczeniu...

— Jeśli kto zapomniał, to nie ja z pewnością, — odrzekł pan Jan półgłosem, z jakąś goryczą w głosie, — a że wieści o sobie dać nie mogłem, to nie moja wina. Z zagranicy nie tak łatwo przesłać wiadomość, a gdy przybyłem na Ruś, czasu już nie było myśleć o listach, kiedy cały kraj był w ogniu, i kto żył, śpieszył pod znaki. I ja, wraz z innymi, zaciągnąłem się jako ochotnik do hufców pana Potockiego, starając się, o ile mogłem, przynieść pożytek, aż mię ta nieszczęsna rana zrobiła bezużytecznym na długo; teraz właśnie, kiedy każde ramię rycerskie się przyda, bo Turek nam grozi swymi siłami. Ludzie, którzy mię otaczali, nie znali mię, ani wiedzieli kto jestem, więc nie mogli donieść co się dzieje ze mną, chociaż wiele okazywali mi życzliwej troskliwości; ja zaś w pierwszych dniach nie o świecie Bożym nie wiedziałem, a gdy chwilami wracała mi przytomność, to słyszałem, jak dokoła mnie szeptało, że już mi niewiele żyć pozostało, że napewno umrę. A wówczas, widząc dokoła siebie tylko obce, obojętne twarze, prosiłem Boga, by mi nie dał umierać zdala od blizkich, pomiędzy obcymi. I Bóg mię wysłuchał; prawda, że nacierpiałem się niemało, ale przecie żyw jestem i mogę was oglądać. Okrutnie się też ucieszyłem, gdym ujrzał Andrzeja, zdawał mi się z nieba zesłanym, a już chyba brat rodzony nie mógł być od niego lepszym i troskliwszym...

Magdzia, słuchając tego, czuła, że jej się serce ścisła, a oczy zachodzą łzami. Jej biedny chłopak, którego tak kochała, sam, między obcymi, odtrącony od swoich, w chwili gdy był blizkim śmierci! Jakież to okropne! Co chwila spoglądała na niego, a widząc go tak bladym i zmienionym, nie mogła się utulić...

— Przestań płakać, siostrzyczko, — rzekł pan Jan, — widzisz, że żyję i jestem zdrowy; nie chciałem umierać, bo pragnąłem być na twojem weselu. Sadzę, że mię przyjmiesz? Cóż, nie odpowiadasz? Czy to może od czasu, jak poznałaś Andrzeja, twoja wesołość gdzieś znikła? To źle, powiem mu, że mam żal do niego za to...

— Jeszcze by też! — zawołała Magdzia, podnosząc głowę i ocierając szybko łzy z oczu. Prędzejby on stracił wesołość, gdybym mu zaczęła dokuczać!

— Widzę, żeś go już także wzięła w karby. A czy często go lajesz? — pytał z uśmiechem.

— A tyś co myślał? Prawda, że on rzadziej od was na to zasługuje, ale nic nie szkodzi czasem polajac, by nie nabrał nadto zarozumienia o sobie.

— Powiedz mi jednak szczerze, Magdziu, — ozwał się pan Jan poważnie, — miłujesz-że ty jego istotnie? Takbym pragnął widzieć was szczęśliwymi — jesteście warci jedno drugiego.

Magdzia zarumieniła się lekko, lecz podniosła głowę i rzekła śmiało i z prostotą:

— Tak, miłuję go, bo jest to prawe i wierne serce, które wiem, że nie zawiedzie mię nigdy...

Rad jestem, że się tak stało, — rzekł pan Jan i westchnął mimowoli na myśl, która mu się nasunęła w tej chwili.

— Rad jesteś, a czemuż wzdychasz? — spytała Magdzia, zaglądając mu w oczy.

— To nie przez zazdrość dla twego szczęścia, siostrzyczko. Przeciwnie, gdym mówił z tobą, to mi się zdało, że znowu powróciło to, co minęło, stałem się znowu młodszym...

— Proszę, — co za poważny człowiek! A ile ci lat, staruszku? sześćdziesiąt, czy też siedmdziesiąt?

— Nie liczyłem, ale zdaje mi się, że coś około tego, — rzekł z uśmiechem.

— No, niechże ci się nie zdaje, bo ja nie chcę, żebyś ty był starym, — odrzekła Magdzia stanowczo. — Czekaj, czekaj, nieza długo i ty także odmłodniejesz i będziesz szczęśliwym...

Pan Jan potrząsnął głową z powątpiewaniem. — Proszę nie potrząsać głową, gdy co mówię, bo tego bardzo nie lubię.

— Już nie będę siostrzyczko; ale gniewaj się, czy nie gniewaj, a jednak trudno mi uwierzyć w podobną zmianę...

— Jakto, niegodziwy, więc gdybyś obaczył Ewcię, tobyś się nie ucieszył? — zawołała Magdzia z oburzeniem.

Po twarzy pana Jana przemknął rumieniec, i odbiło się silne wzruszenie, które usiłował jednak pokryć natychmiast:

— Tego nie mówię, — odrzekł, starając się odzyskać spokój, — sądzę tylko, że dla panny Ewy będzie może obojętnem, a może nawet przykrem spotkanie ze mną... Może teraz żałuje, że mi okazała niegdyś trochę życzliwości...

— Powiedz mi, zkad ci takie myśli przychodzą do głowy, — wykrzyknęła Magdzia zdumiona.

— Czyż sama nie mówiłaś, że już mi przestała wierzyć? Cóż znaczy człowiek, któremu wierzyć nie można? — wyrzekł z goryczą; — takiego najlepiej zapomnieć jak najprędzej...

— Prawda, że Ewcia już trochę wątpić zaczęła o tobie; ale trudno, ona cię nie zna tak jak ja, od dziecka, — odparła Magdzia.

— A ty, czybyś zwątpiła kiedy o Andrzeju? — spytał, patrząc jej w oczy badawczo.

— Nigdy, — odrzekła bez namysłu.

— Widzisz! — zawołała, jakby z tryumfem. — Kto miłuje prawdziwie, ten wierzy... Zresztą lepiej nie mówić o tem, — dodał, — jakby chcąc gwałtem otrząsnąć z siebie smutek, który czuł w głębi duszy.

Zaczął wypytywać siostrę o wszystko, co zaszło w jego nieobecności; parę razy próbował sprowadzić rozmowę na pana Żelskiego, lecz się wstydził wprost o niego zapytać i zdradzić tym sposobem swoje uczucia. Mówił napozór swobodnie a nawet wesoło, ale wprawne oko Magdzi dostrzegło, że mu coś leży na sercu i że do Ewy ma zarazem żal i urazę tajoną.

— Wiesz co, Magdziu, — mówił, niby żartując, przynajmniej choć niebardzo zwlekajcie ze swem weselem...

— Eh, co tam jeszcze o tem gadać, — odrzekła Magdzia zawstydzona, odwracając się od niego.

— Ja bez żartu mówię, gdyż chciałbym być na niem, zanim znowu ruszę w świat...

— A toż znowu co nowego? Gdzie chcesz iść?

— Na wojnę się zanosi, hetman potrzebuje żołnierza, więc mię chętnie przyjmie pod swoje znaki. Bóg da, że tymczasem wrócą mi już zupełnie dawne siły, — chcę tylko jeszcze pierwszej otrzymać przebaczenie stryja, bez którego nie odejdę ztąd.

— Obaczymy, czy zechcesz ztąd odejść, gdy Ewcia powróci, — rzekła Magdzia w duchu, patrząc na niego i myśląc nad tem już, jakby naprawić to, co się popsuło.

— Żeby już to Ewcia przyjechała prędzej, — mówiła sobie, — zaradzi się to wszystko naprawiło. Boże, co ja mam kłopotu z nimi obojgiem! Mam nadzieję, że pan Andrzej mi w tem znów dopomoże. Co to za zacne serce! Z tym przynajmniej niema kłopotu!

Pan Jan opowiadał potem swój pobyt za granicą w Morawii, gdzie, dzięki swojemu wyćwiczeniu w wojennem rzemiośle, znalazł łatwo wstęp na dwór pewnego znacznego tamtejszego pana, bo w owych czasach burzliwych, kiedy w Czechach trwały walki religijne, każde ramię umiejące władać szabłą, było cenione.

— Odwiedziłem także grób ojca w Ołomuńcu, — opowiadał dalej pan Jan, i pierwszy raz wtedy przyszło mi na myśl, jak ciężko musiało mu być umierać na obcej ziemi, zdala od wszystkiego, co miłował... O, ten grób samotny i opuszczony wiele mi powiedział, — nigdy z ust żyjących ludzi nie słyszałem tego! Nieraz ciężko mi było na obczyźnie, a zwłaszcza tęsknota gryzła mię okrutna, ale się dużo nauczyłem, a to, co widziałem gdzieindziej, sprawiło, że zacząłem więcej cenić to, co mamy u siebie w domu. Przekonałem się, że nigdzie nie jest tak dobrze jak u nas, ale mało jest takich, co by to ocenić umieli. I ja byłem podobny do innych, lecz to, com przeszedł w ostatnich czasach, otworzyło mi oczy i poznałem, w czem błędziłem dotychczas...

Magdzia patrzyła na niego gdy mówił i dopiero teraz zwróciła uwagę na zmianę, jaką w nim zaszła. Ruchy jego, choć zawsze energiczne i żywe, stały się mniej porywcze, wyraz twarzy był spokojny i zamysłony, tylko w oczach skupiła się cała dusza, a skryty w nich, tlejący ogień, w chwili gdy zajaśniał w pełnym blasku, tem potężniejsze czynił wrażenie, że nie rozpraszal się w drobnych wybuchach jak dawniej, lecz płonął jakimś głębokim, wewnętrznym żarem prawdziwego, trwałego zapалу. Z całej postaci jego przemawiała teraz mężka wola i panowanie nad sobą: nie był to już koń wichrowaty, — spokojna, pewna siebie siła widniała w każdym jego spojrzeniu...

W parę dni potem wrócił chorąży, a po nim zaraz kasztelanowa przybyła z Krakowa wraz z Ewą. Chorąży, nie domyślając się roboty Magdzy, zdziwił się a zarazem ucieszył bardzo temi odwiedzinami. Dziewczęta tymczasem wymknęły się do sypialni Magdzy i zaczęły z sobą mówić po cichu i z bardzo wielkim zajęciem.

Ewa, wysłuchawszy blada i wzruszona szczegółowego opowiadania Magdzy, uczuła się tak winną, że darować sobie nie mogła teraz owej niewiary, jaką okazywała względem pana Jana.

— Boże, — wyrzucała sobie w duchu, — więc ja byłam tak niesprawiedliwą, niegodziwą, że go posądzałam o złamanie wiary, wtedy kiedy życie jego było w niebezpieczeństwie! O, nigdy sobie tego nie daruję!

I na myśl, że mogła być tyle okrutną, zaniosła się płaczem, przez długi czas nie mogąc się uspokoić.

Ale po owym wybuchu skruchy nastąpiło uczucie jakby zawstydzenia i nieśmiałości, a kiedy Magdzia rzuciła myśl, że jutro będą mogły zobaczyć się z panem Janem, ona, ukrywając twarz na jej piersi, wyszeptwała:

— Nie, nie teraz jeszcze, — nie będę mogła mu w oczy spojrzeć!...

— Dlaczego? — spytała Magdzia.

— Bom przedtem o nim zwątpiła!...

— Więc dla tego powinnaś starać się jak najprędzej wynagrodzić krzywdę, którąś mu tem wyrządziła. Bo czyż nie czujesz jak go skrzywdziłaś, posadzając o niedotrzymanie słowa?

— Och, czuję, czuję dobrze... i dlatego mi tak ciężko teraz się z nim spotkać, — odrzekła Ewa, zakrywając oczy.

— Dziwna bo ty jesteś, Ewciu, — rzekła Magdzia żywo, — ja na twojem miejscu nie wahałabym się ani chwili, gdybym czuła, że mam do naprawienia wyrządzoną komuś niesprawiedliwość.

Ewa spuściła głowę, pomieszana i zawstydzona; na twarz jej chwilami występował silny rumieniec — i zdawało się, że walczy sama z sobą.

Magdzia, zostawiwszy ją z własnymi myślami, odeszła do kasztelanowej, której opowiedziała o tem, co nazywała swojemi kłopotami. Wieczorem przyjechał pan Andrzej, który pełnił teraz obowiązki posła pomiędzy Lipińcami a Bobrowicami, z czego zdawał się dość zadowolonym. Zastawszy Magdzię samą w pokoju, rzekł, zbliżając się do niej, ze wzrokiem pełnym prośby:

— Panno Magdaleno, sądzę, że moje wierne służby warte są jakiego takiego uznania. Czy tak? Czy mam słusność?

— Czekajno waszmość, — przerwała Magdzia żywo, — pierwej trzeba z tymi dwojgiem doprowadzić do ładu, a to widzę, że znów zaczynają się dawne ceregiele. Wiecznie coś wymyślają, byle tylko sobie i iunym głowę kręcić. A na uznanie zasług waćpana będzie jeszcze dość czasu, zwłaszcza, iż widzę, że zaczynają one waćpana wbijać w zarozumiałość...

— Choć to źle przypominać, że się było chwalonym, ale śmiem zwrócić uwagę, że panna Magdalena sama była innego zdania o mnie...

— Co tam masz waćpan przypominać; pewnie że jeśliś chwaliła, toś waszmość zasłużył, bo ja darmo nigdy nie chwale. Ale ja waćpanu także przypomnę przysłowie: „Próżna chwała w kacie stała.“

To mówiąc, pusta dziewczyna wybiegła z pokoju, zostawiając go samego.

(Dokończenie nastąpi).

## Z RZYMU.

W Sierpniu.

Według najświeższych źródeł dowiadujemy się, że Ojciec św. cieszy się dobrem stosunkowo zdrowiem, że używa codziennie przechadzek w cienistych alejach ogrodów watykańskich i spędza całe dnie w pałacyku letnim „Casino di Papa.“ Leon XIII należy do najświetlejszych następców Piotra św. i dlatego właśnie potężny i dobroczynny wpływ obecnie panującego Papieża w dzisiejszych ciężkich czasach nietylko na cały świat katolicki, lecz także i na narody, wyznające inną religię, jest solą w oku wszystkich żywiołów przewrotu i wrogów etyki katolickiej i dlatego to oni, nie mogąc walczyć z pięknymi i podniosłymi ideami Leona XIII, starają się zastraszyć przynajmniej świat katolicki alarmującami, a w gruncie rzeczy fałszywemi pogłoskami o groźnym stanie zdrowia Papieża. Najważniejsze dzienniki wszystkich stolic europejskich zadały kłam tym złośliwym pogłoskom, masońskie pisma ignorują jednak ten fakt i dalej snują sieć swoich, na szczęście, kłamliwych wieści.

Kto zwiedzi Rzym i jest dopuszczonym, aby oglądać uświęcone oblicze Ojca św., widzi go siedzącego na miękkim foteliku, umieszczonym w cieniu altany naturalnej, utworzonej z drzew laurowych i prowadzącego ożywioną rozmowę z dygnitarzami kościoła.

Jakkolwiek Ojciec św. cieszy się pomyślnym stanem zdrowia, rozumie się jednak, że 35-letniowe upały rzymskie powodują niekiedy u dostojnego „więźnia watykańskiego“ lekkie osłabienia; takim osłabieniom podlegają i ludzie najmłodszy, a nie należy zapominać, że za rok Ojciec św. rozpocznie dziesiąty krzyżak życia.

W dzień św. Franciszka a Paulo był na posłuchaniu u Ojca św. ks. arcybiskup Accoramboni, deputat klasztorów rzymskich, oraz komander Attilio Ambrosini, deputat szczególny klasztoru św. Antoniego. Ofiarowali oni Papieżowi

wspaniałą palmę, jaką siostry Franciszkanki z owego klasztoru mają przywilej przygotowywać dla Ojca św. Palma ta jest misterną robotą rytmiczną i hafciarską, przyozdobioną kwiatami wszelkiego rodzaju i meandrami liściastymi. Palma jest u podstawy ozdobiona wspaniałą wstążką metalową, na sztorce są wyrzeźbione liście; spływa ona na wazę misternej roboty. W środku palmy wstawiona jest bardzo piękna miniatura, utwór malarza Pietro di Simona. Miniatura ta jest prawdziwym arcydziełem sztuki; przedstawia ona św. Alojzego, szczególniejszego patrona rodziny Pecci. Postać młodzieńca trzyma w ręku księgę i lilię, a u stóp ma koronę królewską i berło. Niebiański wyraz twarzy i postawa świętego pobudzają do modlitwy. Tło jest złociste, ozdobione krzyżami i innymi symbolami chrześcijańskimi w stylu cinquecentystów. Na ramie owalnej złoczonej znajduje się napis: *Regius hic juvenis lavato e carcere pastor; Rex tu sublato carcere, Pastor ejus.* Ojciec św. przyjął chętnie dar i w uprzejmych wyrazach polecił księżom-deputatom podziękować zań i przesłał siostrze Kamedułkom błogosławieństwo apostołskie.

W jednym z ostatnich numerów oficjalnego organu watykańskiego „Osservatore Romano“ pojawił się znamieny artykuł, którym się zainteresowały niemal wszystkie dzienniki włoskie. Artykuł nosi tytuł: *Sommo Pontefice e la nazionalita.* Jestto wyborna odprawa, skierowana przeciw wszystkim pseudo-patryotycznym dziennikom włoskim, które z wielkim upodobaniem występują przeciw Papieżowi, zarzucając mu brak włoskich uczuć narodowych. Wyż wspomniane pismo nie formułuje wprawdzie, ale daje odgadnąć jedyną drogę, na której Włochy, jako całość, mogą znaleźć zapewnienie swej przyszłości. Oto własne słowa dziennika *Osservatore Romano*: „Włochy są takim narodem, jak każdy inny, i jako taki, mają prawo do niepodległości i do kultywowania swej narodowości. W tym punkcie my wszyscy Włosi, z wyjątkiem anarchistów i pewnego odłamu socjalistów, jesteśmy między sobą zgodni. Różnice zjawiają się dopiero wtedy, gdy chodzi o sposób i środki stosowania w praktyce pojęcia narodowości. W istocie, liberaliści rewolucyjni i masoncy, którzy więcej niż od pół wieku przywłaszczają sobie monopol pojęcia o narodowości, nazywają nieprzyjacielem Włoch każdego, kto nie idzie za kierunkiem, jaki oni dają uczuciu narodowemu. My przeciwnie, którzy chcielibyśmy mieć Włochy oddane Kościołowi i wierne papieżowi, nie możemy twierdzić tego, co jest dziełem sekt anti-chrześcijańskich, tem bardziej, iż zajrzawszy do dziejów naszej ojczyzny, przekonamy się, iż pojęcie narodowości prawnieznane u nas w wiekach minionych, od czasu do czasu budzone było i podtrzymywane jedynie przez papieży, których rzadko wspierali, a często zwaiczali księżęta i ludy różnych stron Włoch.“

I w istocie, jak to okazuje „Osservatore Romano“ w ogólnym rzucie historycznym, Pizanie, Genuenicy, Florentycy, Medyolańczycy i Neapolitańczycy wyczerpywali się w długim szeregów współzawodnictw i walk bratobójczych, zamiast oddać tę energię na usługi idei narodowej i nazawsze oddalić od Włoch zaborców obcych. „Ale też wtedy — pisze organ watykański — stali papieży na czele wielkich przedsięwzięć ku obronie interesów włoskich, począwszy od Leona Wielkiego przeciw Attyli, Grzegorza XIV przeciw Henrykowi IV, aż do Innocentego III przeciwko Niemcom i Juliusza II przeciwko pastnikom Państwa Kościelnego. Zarazem także od Aleksandra III przeciw Fryderykowi Rudobrodemu i Pawła IV przeciw Karolowi V aż do Piusa IX, który z wysokości balkonu kwirynalskiego błogosławił Włochy, a nawet konfederację włoską pod prezydencją Papieża. W szczególności co się tyczy Grzegorza VII i Aleksandra III, „Osservatore Romano“ tak się wyraża: „Wielki Papież Grzegorz VII walczył z wiarołomnym Henrykiem IV i nałożył nań pamiętne w dziejach upokorzenie Canossy; zwalczał również symonię, ale równocześnie przyspasiał rozwój gmin włoskich i powziął za-

szczytny zamiar federacji wszystkich gmin włoskich pod przewodnictwem i protekcją papieża, zamiar, któremu nawet Mazzini złożył hołd należny w książce pod tytułem *Dal Concilio a Dio*. Aleksander III ze swej strony, idąc za wzorem nieśmiertelnego Hildebranda, wykłina Barbarosę, burzyciela Cremony i Medyolanu i zawiązuje „Ligę Pontydę“, która doprowadziła do zwycięstwa pod Legnano, pierwszej bitwy, w której występowali sami tylko Włosi, w imieniu Włoch, dla złamania potęgi cudzoziemskiej. Rzym był zawsze stolicą nie polityczną, ale moralną całych Włoch. Papieże czuwali nad Włochami i sami, w czasach klęsk, przeniknięci byli pojęciem ich narodowości. Może się czasem mylili, bo w polityce nikt nie jest nieomylnym, ale nigdy nie wiazali się z cudzoziemcami, w celu tłumienia dążeń narodowych włoskich, czego na nieszczęście niemożna powiedzieć o wielu ludach i książętach włoskich.“

Za świetny ten, cięty i ze spokojem skreślony artykuł, otrzymała redakcja „Osservatore Romano“ liczne powinszowania. Rzecz ta i na maso-nach wywarła bardzo głębokie wrażenie; upły-nie z pewnością czas pewien, zanim się odważą podejrzewać Stolicę Apostolską o brak uczuć narodowych włoskich. Podobnie jak Czesi Franciszka Palackiego, Włosi obchodzą uroczystość największego swego poety — Giacomina Leopardiego. Był on prawdziwie wielkim poetą, ale nie śpiewał jak nasz Mickiewicz; jego piękne, cudownym językiem skreślone poezye, przypominające wspaniałość muzy Dantego, osłonięte są ponurym kirem żałoby i smutku.

*Tutto e perduto!* (wszystko stracone), oto myśl przewodnia Leopardiego. Pessimizm jego ma swe źródło w braku wychowania prawdziwie katolickiego. Urodził się dnia 29 Czerwca 1798 r. w mieście Secanati w pobliżu Ankony i był potomkiem podupadłej hrabiowskiej rodziny. W młodości odumarła mu matka, nauczycielem i doradcą był jego własny ojciec. Sam poznał się z językami i literaturą grecką, francuską i angielską, znał też dokładnie język hebrajski. Był on od dzieciństwa chorowity i ułomny, W tem wątem ciele siedziała jednak ognista, poetyczna dusza. Jego „Ricordanza“, „Consalvo“, i „Canti d'amore“ zapewniają mu miejsce między pierwszymi lirykami Włoch. Głębokie uczucie, jakie go natchnęło, ciągle pragnienie miłości, której prawdziwie nie zakosztował, wzruszają nas, bo są głębokie. Nas, Polaków, interesuje napisany przez Leopardiego dyalog dramatyczny, osnuty na starożytnych wzorach pod tytułem „Niccolo Kopernik.“ Profesor uniwersytetu bolońskiego, znany poeta Carducci, zajął się wydaniem zbiorowem utworów Leopardiego.

Ojczyzna Leopardiego popadła w ostry konflikt z drugą półkulą świata, a mianowicie z Kolumbią. Spór toczy się od lat wielu, a rozchodzi się o odszkodowanie obywatela włoskiego nazwiskiem Cerruti, który miał w Kolumbii wielkie, w kwitnym znajdujące się stanie przedsiębiorstwa, a te w r. 1885 podczas nierządnych tam rewolucyj, kompletnie zniszczone zostały. Milioner Cerruti popadł skutkiem tego w bankructwo, a w dodatku został uwięziony. Po długich, przez wiele lat bez rezultatu pozostających układach, zawarto ostatecznie w 1897 r. kompromis, na mocy którego rozstrzygnięcie sporu złożono w ręce prezydenta Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Rozstrzygnięcie ówczesnego prezydenta Clevelanda polegało na tem, że rząd Kolumbijski miał być obowiązany wypłacić Cerrutiemu, jako odszkodowanie, 1,250,000 franków. Kolumbia zgodziła się na to, ale uczyniła zastrzeżenie przeciw innemu punktowi wyroku sądu polubownego, mianowicie odnośnie do zaspokojenia wierzycieli Cerrutiego. Włochy zaś zastrzegły się przeciwko jakimkolwiek zarzutom, skierowanym przeciw wyrokowi sądu, na które obie strony się zgodziły, a zarzuty uznały za niedopuszczalne. Włochy okazały jednak i w tym wypadku wielką cierpliwość i pozostawiły Kolumbii pewien czas na wykonanie postanowień, w dniu 2 Marca 1897 r. zapa-

skiego wyroku rzeczonoego sądu polubownego. Ponieważ jednak rząd Kolumbijski aż do tego czasu nie w tej mierze nie uczynił, postanowiły Włochy zabrać się tym razem energicznie do tej sprawy. Polecono tedy komendantowi znajdującej się podówczas na wodach południowo-amerykańskich dywizji morskiej, admirałowi Candiani, aby wraz z krzyżownikami Carlo Alberte, Etna, Giovanni Bangao, Umbria i Calabria, stanął w porcie Kartagińskim i pod groźbą bombardowania zażądał ostatecznego wykonania postanowień wyroku sądu polubownego. Krążąc pogłoski, że Candiani znajduje się już w pobliżu zatoki Kartageńskiej, i że ma zamiar zająć tamtejszy urząd celny; z innych stron dochodzą wieści, jakoby Candiani miał proklamować blokadę wybrzeży kolumbijskich. Są jednak pewne dane, które pozwalają się domyślać, że na nowo zaostrozony spór będzie ukończony na drodze pokojowej. Dziś właśnie donosi Agenzia Stefani z Cartageny, że jest nadzieja, że admirałowi Candiani uda się, bez uciekania się do środków ostatecznych, sćiagnąć należne Cerrutiemu odszkodowanie i uzyskać pełne zadosyćuczynienie ze strony rządu kolumbijskiego. Vederemo!

K. R.

## MILCZY...

Do moich stóp gdy tulił ramion dwoje,  
I „kocham“ w łzach powtarzał mi z pieśczętą:  
„Tyś skarbem wym...“ szeptałam w odpo-  
[wiedzi,  
„Tyś jest mój świat, ty jesteś wszystko moje...“

A dziś, gdy ja krwaźwami łzami poję  
I tulę darń, co stopy mu okrywa,  
Na bólu krzyk, na łzy me i me skargi  
Milczy mój skarb, mój świat i wszystko moje...  
W. K.

## POCIESZENIA.

OPOWIADANIE

przez

Aleksandrę Łapińską.

(Dokończenie).

Ponury był dzień nazajutrz.  
Zeszliśmy się późno przy śniadaniu, nieomal w samo południe. Na wszystkich widoczne było zmęczenie po nieprzespanej nocy, i dzięki temu zapewne, nikogo nie zadziwiło, że Julcia milczała prawie przez cały czas spędzony przy stole, i że ja również w rozmowie udziału nie biorę.

Jednej Stefci tylko humor dopisywał.

A mnie było w duszy tak ciężko, jakby te wszystkie chmury, co się po niebie wlokły powoli, spływały mi do serca. Wzrokiem unikałem twarzy Julci, widziałem jednak każdy jej ruch, całą postać. Siedziała naprzeciwko, w swojej szarej angielskiej sukni, w której przyjechała do Zahorza, i oparłszy się plecami o wysoką poręcz krzesła, zdawała się słuchać mówienia Stefci. Ani razu nie spojrziałem w jej oczy, lękałem się ich wyrazu,

Schodząc od siebie z góry, postanowiłem zaraz przy śniadaniu powiedzieć ciotce, że chcę wyjechać jutro o świcie; ale jakoś trudno mi było zacząć o tem mówić, poprostu wyrazi do ust mi nie szły.

— Jak teraz nie powiem, to potem będzie jeszcze trudniej i jeszcze mniej będzie miało sensu to nagłe postanowienie—powtarzałem sobie w duchu, ale pomimo tego nie zaczynałem mówić.

Patrząc przed siebie na ciemniejące poza łąką świerki, widziałem oparte na kolanach ręce Julci i przypominałem sobie, jak wczoraj jedną z tych rąk po twarzy swojej przesuwiała. I w duszy zacząłem jej zadawać pytania, czy i jej tak jak mnie ciężko teraz i okropnie.

Ciotka skończyła już pić herbatę, odsunęła szklankę i za chwilę miała się podnieść, a ja najniespodziewaniej nawet dla siebie samego—zaczęłem:

— Prosiłbym bardzo cioci o konie na jutrzejszy ranny pociąg, już muszę wracać. Może to cioci różnicy nie robi, na ten pierwszy?

Ciotka właśnie wstawała z krzesła, ale zrozumiawszy, o co mi chodzi, usiadła napowrót i powiedziała z zadziwieniem.

— Co ty, Luciu, już chcesz wyjeżdżać?!

Ja wtedy zacząłem mówić bardzo żywo, że w tym czasie właśnie ma przyjechać do miasta jeden z moich znajomych, na widzeniu się z którym wiele mi zależy. Tłómaczyłem, że przeglądając dziś rano kalendarzyk w moim pugilaresie, przypomniałem sobie ten ważny termin, bo go nawet czerwonym ołówkiem przed paroma tygodniami podkreśliłem.

Mówiłem z takim przekonaniem, że sam nieomal uwierzył w przyjazd tego jakiegoś znajomego i w to czerwone podkreślenie.

Stefka uderzyła na alarm i zaczęła się gniewać.

— Teraz najmilej, teraz ja się już do Lucyana przyzwyczaiłam, a on odjeżdża. Warto było przyjeżdżać na ośm dni! Ja bo tam zaraz przewidziałam, że tu Lucyana długo nie usiedzi, a teraz to wiem napewno, że ledwie do miasta powróci, to i zapomni o nas zupełnie!

— Oj nie, Stefciu, nie zapomni, mogę ci zaręczyć, że nie zapomni,—odpowiedziałem i gardło ścisnęło mi się przy tych słowach tak, jak w dzieciństwie, kiedy chciałem płakać.

I Władzio przeciw wyjazdowi mojemu protestować zaczął, jedna tylko Julcia nie odezwała się z początku z niczem, oczy miała szeroko otwarte i patrzyła gdzieś przed siebie; a kiedy przyciągnięta wzrokiem moim spojrziała na mnie, to zrozumiałem jasno, że w jej duszy jest smutek i wdzięczność, i że jej oczy mówią:

„Dobrze robisz, tak trzeba, ale mi ciebie żal ogromnie, i moje serce także się łzawi.“

Ale widocznie spostrzegłszy, że mi ciężko słuchać tej jej cichej mowy, uśmiechnęła się do mnie serdecznie i słodko i głośno powiedziała:

— Skoro to ostatni dzień, w którym jesteśmy wszyscy razem jeszcze, to trzeba go spędzić jak poprzednie, wesoło i użyć wsi, aby nam braci-szek złych wspomnień nie wywiózł.

A wzrokiem jeszcze dodała:

— Ukryj to wszystko głęboko w sercu i nie myśl, będzie nam lżej—

Potem od stołu się podniosła, ucałowała rękę matki, uścisnęła Władzia i, zbliżywszy się do Stefci, objęła ją ramieniem i podprowadziła ku mnie.

— No, niechże nam się dziecko rozchmurzy,— rzekła, odgarniając włosy z czoła młodszej siostry. — Gdyby Lucyana mógł, toby pozostał, ale skoro wyjechać mu trzeba, to Stefcia daruje i rozweseli mu ten ostatni dzień, prawda Stefus? co? prawda?

I dopóty gładziła jej nadąsaną twarzyczkę, dopóki się dziewczynka uśmiechać nie zaczęła.

— Aha! jest!—zawołała wtedy.—No, teraz już wszystko dobrze!

A ja wziąłem obie ręce tej mojej bardzo drogiej i całując je, powtarzałem:

— Moja Julia, moja Julia —

Głowę podniosłem i zobaczyłem, że słońce świeci.

— Będzie pogoda! Wypogodzi się, wypogodzi! — wołała ucieszona Stefcia.

A w moim sercu pomieszały się uśmiechy i łzy, i wydało mi się, że moje piersi oddychają swobodniej i jednocześnie łkają, łkają, łkają...

Byliśmy ciągle wszyscy razem. Ani ciotka ani Władek nie oddalali się na długo, gospodarstwo poszło na bok; dzięki Julci, ja stałem się główną osobą tego dnia.

Wypogodziło się istotnie, więc po obiedzie poszliśmy do lasu, siedzieliśmy na mchu, rozmawiając o tych latach, w których jeszcze żyli moi rodzice, ciotka opowiadała mi o matce, a mnie się zdawało, że słyszę bardzo wyraźnie: „Luś any tyś, any.“

Przed wieczorem pojechaliśmy we czworo konno. Ingomar jakby odgadywał usposobienie swego jeźdźca, nie szalał tym razem, spokojny był i, mnie się tak przynajmniej wydało, i smutny. Strzała tylko jak zwykle potrząsała białym łebkiem i chwilami rżała tak wesoło, że się oczy Julci kryły pod powieki i potem błyszczały, jakby po łzach.

Wróciliśmy do domu, kiedy już księżyc czerwienił się z poza świerków wielką kulą.

Wieczere jak zwykle przygotowano na werandzie i — coraz rzadziej do rozmowy ogólnej mieszał się głos mój i głos Julci, aż nareszcie, podobnie jak rano, umilkły zupełnie; tylko już oczy nasze nie uciekały od siebie, chwilami spotykały się i wtedy patrzyły ze smutkiem niezmiernym.

Zapalono lampę. Ciotka przeszła do pokoju. Władzia odwołał stajenny, a my pozostali we troje usiedliśmy na schodkach. Księżyc między obłokami płynął, srebrzył łąkę i rzucał od świerków długie cienie.

Uciszyło się tak, jakbyśmy cały ten widok mieli w duszy.

— Smutno czegoś, — szepnęła Stefka.

— Smutno, dziecko, — powtórzyła Julcia, głowę Stefci przytulila do piersi i zwróciwszy się ku mnie, zaczęła mówić półgłosem:

— Może Bóg da, przyjedziesz tu kiedy do nich, a wtedy i ty będziesz już mówił o jakiej twojej radości własnej, wyłącznie twojej, może Bóg da.

A widząc, że uśmiecham się gorzko, dodała:

— To nie jest trudno, naprawdę.

Stefcia wstała ze schodków, zaczęła chodzić po murawie i głowę podniósłszy wysoko, patrzyła na księżyc.

— Zadeklamuj co, Stefciu, — poprosiłem.

Dziewczynka stanęła.

Biały obłoczek zaczął się przybliżać do księżycy, brzegi przeświecały mu już srebrzystym blaskiem, potem znów pociemniał, bo się nim księżyc cały osłonił.

Stefka milczała.

Dopiero, kiedy z przeciwnej strony obłok rozświecać się zaczął, wtedy ona odezwała się głosem powolnym i jakby sennym:

„Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,

„Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,

„I wszystkie liście bez szelestu wiszą,

„I ciszej źródła po murawach dyszą:

„Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,

„I o czem cichem pomówić ze światem,

„Z każdym słowikiem, listeczkim i z kwiatem.

„Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą

„Wychodzi bład pierścioneczek Dyany:

„Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,

„I wszystkie liście na drzewach zabręcą,

„I wszystkie źródła jęk wydają szklany. —

„O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą!

„Co mają sobie przebaczyć — przebaczą!

„Co mają sobie zapomnieć — zapomną!“

Dziewczynka umilkła, jakby jej do słów dalszych głosu zabrakło.

Uczulem, że mnie płacz poprostu dusi, spojrziałem na Julcię, brwi miała zsunięte, jak w łkaniu.

— A ty mi, Julu, przebaczysz? — zapytałem cicho.

Zadrgała jej twarz, widziałem, jak usta jej się trzęsły. Oczy pełne łez spojrzała na mnie i zaszeptala:

— Przebaczę...

— Ale... nie zapomnisz... nie zapomnisz... — powiedziałem z niezmierną prośbą.

Głowę ode mnie odwróciła, tak, że tylko profil jej widziałem przez chwilę. I znów ku mnie przechyliła się jej twarz bolesna, łzami błyszcząca, i z pod zmrużonych powiek patrząc na mnie, powiedziała głosem wielkiego żalu:

— Nie zapomnę...

\* \* \*

Późnym wieczorem przyjechałem do miasta. Służący czekał mię na stacyi, kazałem mu rzeczy odebrać i jechać z niemi do domu.

— I co ja teraz zrobię? Gdzie ja się teraz podziej? — myślałem wyszedłszy na ulicę.

Wokoło turkotały powozy i miasto hałasowało tak okropnie, a ja miałem jeszcze w uszach pełno ciszy wiejskiej. Ludzie kręcili się, potrącali, wołali do siebie, aż strach jaki gwar. Och, gdzie to te pola spokojne i szerokie!

I mimo woli, może instynktowo, podniosłem głowę do góry i spojrzałem na niebo.

Tak, tam było takie pole spokojne i szerokie, gwiazdy na niem świeciły i księżyc srebrzył się; ale między niebem a ziemią nie było tej ciszy, która wypełnia dzielącą je przestrzeń.

Przechodnie potrącali mnie, a ja myślałem, że w mieście to jednak nigdy niema księżycowych nocy: księżyc może sobie nawet i świecić, ale to tak jakoś daleko do tego światła.

Wokoło latarni płonęły i wdali ciągnęły się łańcuchem żółtych światełek, i taki był turkot, taki okropny turkot!

A u nich tam cicho, i księżyc smugi srebrzyste ciągnie po ziemi —

Jak ja już byłem daleko od tego obrazu.

I za innymi szedłem prędko, wymijałem targaży obładowanych walizkami i torbami, i zdawało mi się, że to wszystko, co pozostawiłem za sobą, to naprawdę nie istniało, było tylko jakimś marzeniem chwilowym.

Na zakręcie ulicy musiałem się zatrzymać, jechał sznur dorożek. Patrzyłem na twarze podróżnych, na ich kufry sterzące na kozłach i powtarzałem w myśli machinalnie.

— Już wróciłem, i trzeba iść do domu...

I taki mię raptem ogarnął strach przed tym pustym domem, do którego szedłem, taka tęsknota za tem, czego już przy sobie nie miałem, że zawróciłem w przeciwną stronę i zacząłem mówić:

— Ja tam nie pójdę, nie chcę! Mnie tak ciężko! Służący poda mi herbatę, zabierze się i pójdzie, a ja zostanę sam! Będę patrzył na palącą się lampę, i będzie mnie żal dusi! Wejść do jakiej cukierni, tam wolę siedzieć...

I miałem uczucie, że jakieś kamienie leżą na moich piersiach.

— Jaki ja okropnie sam na świecie! Tu w tem mieście niema ani jednej duszy, którąbym obchodził!

I nagle Owicka stanęła mi w pamięci.

— Aha, Ewa, prawda —

I zacząłem sobie przypominać jej twarz, jej zielone oczy, jej cudowne usta. I przyszło mi do głowy to, co powiedziała:

— „A ty jednak, Lucykanie, do mnie powrócisz, i ja ci wtedy zapomnę te słowa.“

Zaśmiałem się w duchu.

— No, wiem przynajmniej jasno, co miała na myśli, mogę liczyć na jej otwarte ramiona.

Nigdy nie pragnąłem ich mniej jak teraz, ale i nigdy nie były mi potrzebniejsze, jak teraz właśnie.

Zacznie mnie całować, będzie gładziła moje włosy, twarz do mnie przytuli, tam tak cicho w jej salonie.

Krzyknąłem na dorożkę i pojechałem do Owickiej.

Płakała z radości, głowę położyła na moich piersiach i całowała mi ręce, a ja słuchałem jak przez sen, kiedy mówiła o miłości swojej i tęsknocie.

Oczy przymknąłem i myślałem o Julci.

Już tam śpią wszyscy, a ona stoi przy otwartym oknie, i księżyc jej twarz oświetla...

Wyobraziłem ja sobie tak wiernie, jakbym nie duszą, ale wprost oczyma ją widział.

Tak, ona z pewnością tak stoi i patrzy na wierzchołki świerków, ręce ma splecione i przyciska je do serca, które jej znów płacze. Teraz mruży powieki, oddycha wysoko, a z pod rzęs jej płyną łzy. I na chwilę twarz osłania dłońmi i łka cicho, bardzo cicho...

A potem ręce opuszcza, otwiera oczy i patrzy w niebo. Usta jej zaczynają się poruszać i szepce:

— Przyjdź Duchu Twórczo, mocą Twoją napelnij piersi, Któres stworzył, Którys Boga najwyższym darem, Pocieszycielem...

I w ciszy tej księżycowej nocy podnosi się dusza człowieka, którą cierpienie ku ziemi schylało, i uzbrajają się słabe ramiona na dźwiganie trudów życia...

A ja?...

K O N I E C .

## WIADOMOŚCI

Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

### O bocznem skrzywieniu kręgosłupa.

Niema chyba kalectwa, któreby w początkach swego powstawania tak mało zwracało na siebie uwagi, jak boczne skrzywienie kręgosłupa.

Kiedy kalectwo to wyraźnie zdecydowane zaczyna przybierać kształty, nazywają je pospolicie już to krzywą figurą, już to wyższą łopatką — nauka zaś daje mu miano Scoliosy, w bardzo posuniętych wypadkach Kyphoscoliozy.

Boczne skrzywienie kręgosłupa często się przytrafia u narodów cywilizowanych, widzimy, że wraz z postępem cywilizacji, kalectwo to wzrasta liczebnie i w coraz to silniejszym występuje stopniu. U narodów dzikich należą scoliosy do rzadkości. Początek scoliosy u poszczególnych osobników przypada albo na pierwsze lata życia, jako następstwo choroby kości zwanej Rachitis, albo też na szkolne lata, kiedy dzieci zbyt długo siedzą na nieodpowiednio urządzonej ławkach i zbyt są obciążone nauką, młodociany ich organizm nie jest zaś jeszcze dosyć odporny, aby znieść bez szkody te zgubne wpływy zbyt wielkich wymagań obranego wykształcenia. Od czasu wprowadzenia w Niemczech obowiązkowej nauki w szkole, liczba dotkniętych scoliosą bardzo się powiększyła.

Pominąwszy już nawet tę okoliczność, że nie- zbyt przyjemnie jest przejść przez życie z mniej lub więcej oszpeconem ciałem, należy przytem jeszcze na to zwrócić uwagę, że skrzywienie kręgosłupa, jakie znajdujemy u młodego — jeszcze rosnącego dziecka, tylko w wyjątkowych wypadkach nie postępuje już dalej — najczęściej scoliosy wzmagają się aż do chwili, w której dziecko rosnać przestaje.

Nieswiadomość tej okoliczności jest jednym z powodów, dla którego małą zwracamy uwagę na rozpoczynające się skrzywienie kręgosłupa. Już widoczne skrzywienie przyjmujemy z rezygnacją, nie zważając na nie i nie wiedząc najczęściej o tem, że się ono jeszcze bardzo pogorszyć może. Lekarz specjalista powinien tu rozpoznać, o ile w danym razie obawiać się należy zwiększenia istniejącego już kalectwa.

Drugim powodem małego uwzględnienia powstających skrzywień jest okoliczność, że dotknięty scoliosą zupełnie jest tego nieswiadomy—gdyż związane z nią dolegliwości jak brak tchu, zaburzenia w trawieniu lub w krążeniu krwi, pojawiają się dopiero w wieku późniejszym, kiedy skrzywienie już się w wysokim rozwinęło stopniu. Z tego też powodu osobnik dotknięty scoliosą dowiaduje się o niej od swego otoczenia, które również nie jest w stanie rozpoznać złego w samych początkach.

Niezmiernie bowiem mało ludzi jest w stanie rozpoznać małe zбочzenie w symetrii naszych kształtów, co nie jest bynajmniej zadziwiającem przy obecnym sposobie ubierania się—do wprawy bowiem w tym kierunku, nie mamy takiej sposobności, jak ją mieli lekko odziani Grecy i Rzymianie. Najczęściej więc rodzina rozpoznaje poczynające się skrzywienie kręgosłupa przy przymierzaniu stanika nowej sukienki, która w żaden sposób nie chce dobrze leżeć na plecach. Do rady wezwani krewni starają się uspokoić obawy rodziców zapewnieniem, że to zapewne samo przez się przejdzie.

Bywają nawet lekarze, którzy wobec poczynającej się scoliosy, zachowują się zupełnie biernie, nie radząc i nie przepisując żadnego leczenia. Można im przypomnieć słowa profesora wiedeńskiego uniwersytetu, D-ra Lorenza: „Usilnie dążyć do tego należy, aby ogół zrozumiał, o ile ważnem jest dla pomyślnego leczenia bocznych skrzywień kręgosłupa, rozpoznanie złego w samych jego początkach.“

Wówczas unikniemy tego, że matki na własną rękę usiłować będą pokryć kalectwo córki, zamawiając jej odpowiedni gorset, pod którego osłoną zбочzenie powoli, ale wciąż zwiększać się będzie—kiedy nareszcie osiągnie takiego stopnia, że już ująć nie może niczyjej uwagi, wówczas zrywa się rady specjalisty, od którego żąda się cudu. Najczęściej tenże widząc nieuleczalne już skrzywienie całej postaci kości pacierzowej rosłego już dziewczęcia jakie mu przyprowadzono—wydaje smutny wyrok: „Za późno.“ Smutną jest tu pociecha dowcipnisiów, że dziewczyna i tak może wyjść zamaż, jeżeli zapadły bok wypcha banknotami.

Niejedno starzejące się dziewczę nie oplakiwałoby gorzko zmarnowanej swej doli, gdyby wszyscy energicznie zabierali się do dzieła w leczeniu najsłabszych początków scoliosy.

Nie możemy tu naturalnie podawać sposobów leczenia złego—wykraczałoby to poza ramy naszej pogawędki. Leczenie powinno być zastosowane do poszczególnych wypadków i zaordynowane przez lekarza zajmującego się specjalnie ortopedją. Podajemy tylko niektóre łatwo wykonalne środki, które zapobiedz mogą skrzywieniom kręgosłupa u młodzieży.

Przedewszystkiem od urodzenia powinniśmy strzedz dziecko od wszystkich tych wpływów, które mogą przyczynić się do skrzywienia kręgosłupa. Jak już mówiliśmy wyżej, dzieci dotknięte w niemowlęctwie t. zw. angielską chorobą, czyli dzieci rachityczne, najsłabiej są później do skrzywień kręgosłupa. To też w pierwszych już miesiącach życia, dzieci takie troskliwie leczyć należy, starannie przestrzegając przepisane im przez lekarza higienicznego trybu życia.

W latach następujących po niemowlęctwie, kiedy zdrowe dziecko wciąż jest w ruchu, biega i bawi się—nadmierzają rzadko dostrzegamy poczynające się skrzywienie kręgosłupa.

Dopiero wiek szkolny sprowadza za sobą szereg wpływów szkodliwych, które często bardzo zgubnie wpływają na harmonijność kształtów

naszych dzieci. W pierwszym rzędzie postawić tu należy zbyt długie siedzenie, do którego dzieci przy wrodzonej sobie ruchliwości, zmuszone są od razu się nagiąć. To siedzące życie o tyle zgubniej działa—o ile dłużej się przeciąga. To też rzadko widzimy w pierwszym roku nauki, rozwijające się zбочzenia kręgosłupa—natomiast wzrasta ich procent w drugim, dochodzi zaś do potęgi, w trzecim i czwartym roku. Oprócz siedzącego trybu, przypisać to należy również coraz zwiększającej się ilości zadań piśmiennych.

Przy pisaniu, szczególnie wobec ogólnie przyjętego obecnie pisma pochylego, według ściśle zgadzających się z sobą danych statystycznych 80 procent dzieci przybiera krzywe pozycje ciała, które dokładnie odpowiadają powstającym w wieku szkolnym skrzywieniom scoliosy. Dowód oczywisty, że kręgosłup skrzywić się może wskutek wadliwego trzymania się przy pisaniu.

Kiedy jednak 80 procent dzieci szkolnych krzywo się trzyma przy pisaniu, stosunkowo niewielka z nich liczba bywa dotknięta skrzywieniami kręgosłupa. Widzimy więc, że musi być jeszcze jakaś przyczyna, dla której nie wszystkie dzieci ulegają złemu. Przyczyną ową jest mniejsza lub większa odporność młodocianego organizmu, na wpływy wykrzywające jego kolumnę pacierzową.

O ile zdrowszem i silniejszym jest dziecko, o tyle łatwiej znieśli ono bez szkody dla swego kręgosłupa, te zgubne wpływy. Natomiast u dzieci słabowitych, anemicznych, skrofalicznych, rekonwalescentów po ciężkich chorobach, po krótkim bardzo uczęszczaniu do szkoły widzimy występujące znaczne skrzywienia kręgosłupa.

Dla zapobieżenia więc boczному skrzywieniu kręgosłupa, nie należy strzedz dziecka jedynie od zbyt długiego siedzenia i krzywego trzymania się, ale pilnie chronić młody organizm od wszelkich wpływów, któreby go osłabiły i tym samym jego siłę odporną, względem wyżej przytoczonych zgubnych wpływów osłabić mogły.

Staranie to powinno ciążyć nie tylko na rodzicach ale i na szkole. Zbyt jednak szczupłe ramy tej pogadanki, każą się nam jedynie ograniczyć do niektórych wskazówek, co może zrobić dom rodzicielski, aby zapobiedz rozwojowi scoliosy.

Aby ułatwić dziecku proste trzymanie się przy pisaniu nie potrzeba zupełnie sprawić mu jakichś kosztownych ławek, których pożyteczność okazuje się nieraz bardzo wątpliwą. Wystarczy tu zupełnie zwykłe krzesło, które podwyższamy wedle wzrostu dziecka, kładąc nań twardą poduszkę lub też wielką książkę w ten sposób, aby łokcie przy pisaniu znajdowały się na jednej płaszczyźnie z powierzchnią stolika do pisania. Kiedy dziecko usiadzie i oprze się plecami o poręcz krzesła, wówczas trzeba je tak daleko pod stół podsunąć, aby piersi dziecka tylko o dwa palce od powierzchni stołu oddalone były;—aby krawędź stołu nie uciskała przedramienia, które powinno spoczywać na nim wygodnie w naturalnem położeniu. Aby dalej linia wzrokowa bez zbytecznego pochylecia głowy była o ile można poziomo skierowana na zeszyt, postawić należy na stoliku do pisania pulpit z pochyleciem od 18 do 20 stopni do linii prostopadłej. Jeżeli postawimy pod nogi dziecka stoleczek odpowiedniej wysokości, to urządzenie podobne uczyni dziecku możliwem prawidłowe trzymanie się przy pisaniu na równi z najlepszą ławką szkolną.

Uwaga nauczycieli bezustannie powinna być zwrócona na prawidłowe trzymanie się dzieci przy pisaniu. Nikt z wychowawców nie powinien uważać tego za rzecz błahą, którąby lekceważyć można, bo w ten sposób niejedno uchroni dziecko nie tylko od kalectwa ale i od nadwężenia wzroku.

Wielkiem ułatwieniem dla higienicznego siedzenia przy pisaniu, jest pismo prostopadłe. Dowiedzione bowiem zostało za pomocą licznych obserwacji, dokładnych pomiarów i zdjęć fotograficznych, że z pomiędzy dzieci szkolnych

piszących pismem prostopadłem, 75 procent trzyma się dobrze przy pisaniu a 25 procent tylko krzywi się—kiedy przeciwnie u dzieci piszących pismem pochylem 20 procent trzyma się dobrze a 80 procent zupełnie krzywą przybiera pozycję.

Przy używanem dotąd jeszcze piśmie pochylem, dzieci z konieczności tak się wadliwie trzymają, że nawet najtroskliwszy nauczyciel wciąż przestrzegając, nie jest zdolny zapobiedz złemu.

Bardzo niewielu pedagogów opiera się jeszcze wprowadzeniu w szkołach pisma prostopadłego, bo przypuściwszy nawet, że w późniejszym życiu dziecka pismo pochyle więcej będzie miało dlań praktycznego zastosowania jako łatwiejsze i prędsze, to sam ten wzgląd, że pismo prostopadłe przyzwyczajają dzieci do prostego trzymania się przy pisaniu, każe nam je zastosować ze względu na zdrowie uczniów.

Zbyt długie siedzenie, chociażby nawet dziecko prawidłowo się przy niem trzymało, męczy ostatecznie i jest powodem, szczególnie też u dzieci wątłych, krzywienia się kręgosłupa. Należy więc temu zapobiegać urządzając częste pauzy między lekcjami, w czasie których dzieci powinny biegać po dworze albo przynajmniej po jakim obszerniejszym pokoju. Trzeba także wyrabiać w dzieciach odporność przeciwko zgubnym wpływom życia siedzącego, za pomocą wszelkiego rodzaju ćwiczeń fizycznych, jak gry na otwartem powietrzu—pływanie i wiosłowanie w lecie—w zimie zaś gimnastyka i dalekie spacerki—we wszystkich zaś porach roku jak najdłuższe codzienne przebywanie na powietrzu.

Samo przez się rozumie, że higieniczne odżywianie uczącego się dziecka, wpływające na wzmocnienie jego kości i mięśni, zapobiega także krzywieniu się kręgosłupa. Nie wchodząc tu w szczegóły nadmieniam, że pożywienie dzieci powinno być mieszane, roślinne jak i zwierzęce jak najmniej korzenne—wina i piwa stanowczo dzieciom dawać nie należy.

Jeżeli zauważymy w dziecku brak apetytu, nie lekceważmy sobie tego, starajmy się dojść przyczyny i usunąć ją co najprędzej. Przedłużający się bowiem brak apetytu osłabia organizm, zmniejsza jego siłę odporną przeciwko szkodliwym wpływom, wystawia zatem dziecko pośrednio i na niebezpieczeństwo skrzywienia kręgosłupa.

Rozpatrzmy teraz dlaczego scoliosa jest kalectwem przeważnie dotyczącem dziewczęta, bo według ogólnie jednobrzmiących statystycznych obliczeń, na 9 dotkniętych scoliosą chłopców wypada aż 90 dziewczyn.

Głównym tego powodem jest niedorzeczne mniemanie, że dobrze wychowana dziewczynka nie może narówni z braćmi oddawać się ćwiczeniom fizycznym. Kiedy każdemu chłopcu wolno jest po odrobinie zadań szkolnych, używać do syta zabawy w piłkę, ślizgawki, gimnastyki i t. p., dziewczynka uczęszczająca na pensję, już uważana jest za dorosłą pannę, której nie przystoi trochę głośniejsza i ruchliwsza zabawa. Pensye nasze wygórowane stawiają wymagania swym wychowankom, szczególnie też w zakresie zadań piśmiennych; jeżeli jeszcze rodzice dodadzą tu ze swej strony lekcje fortepianu, języków, malarstwa, robotki ręczne, mało nieledwie czasu pozostaje utrapionemu dziewczęciu nawet na jedzenie i sen. Jeżeli tego rodzaju stosunki trwają przez lata całe, jakże można się dziwić niepomysłnemu ich wpływowi na stan zdrowia dziewcząt naszych? Przez wzgląd na delikatniejszą z natury budowę ich kości i mięśni, na ich większą wrażliwość na zewnętrzne szkodliwe wpływy, a głównie też ze względu na przyszłe macierzyństwo, dziewczęta właśnie należałoby strzedz od wszelkiego przeciążania przez cały czas ich nauki, a przedewszystkiem też w czasie ich rozwoju.

Więcej ruchu i więcej powietrza, a dziewczęta nasze nie będą osłabione nerwowo, kształtna ich kibić będzie radością matek, z których teraz niejedna gorzkie łzy wylewa nad kalectwem, grożącym jej dziecku.

Nie tu nie wspomnieliśmy o szkodliwości gorsetów, które utrudniając oddychanie, przeszkadzają wyrobieniu się płuc i osłabiają mięśnie grzbietu, bo wszelkie walki z wszechpotęgą mody są zawsze bezowocne,

## Kronika działalności kobiecej.

— W Berlinie założono niedawno „Bibliotekę, dotyczącą sprawy kobiecej.“ Komitet wydawniczy oddał w ręce czytelniczek pierwszy szereg dzieł, liczba których dochodzi do 120. Całość wydawnictwa obejmuje około 1000 prac, a że dopuszczono do tego wspólnego i wszechstronnego omówienia kwestyi niewieściej głosy za i przeciw, jest nadzieja, że prawda wypowie się całkowicie i ogólna działalność kobieca zostanie gruntownie zbadaną i określona. Znajdujemy w owych rozprawach bardzo szczegółowo obrabione poglądy na stanowisko kobiety moralne, prawne, obyczajowe, zarobkowe, polityczne, filantropijne i t. p. Książki te nabywać można, oraz ich katalog w Berlinie, u panny L. Guttman, Nettelberg str. 24, lub w Victoria Liceum. Dopóki jednak sprawa niewieścia będzie jeszcze napełniała dzienniki, broszury i książki, a nie stanie się przedmiotem istotnych obrad w sferach tworzących prawa i ustawy, mnożyć się będzie naturalnie popierający ją stos argumentów, ale życie nie dozna ulgi, a praca dalej będzie się wlec, niepoparta i lekceważona gościńcem cywilizacji nie zawsze opiekuńczej i nie zawsze przezornej na przyszłość. Nic naturalniejszego, że „sprawa“ trwa póty, póki trwa krzywda.

— W Ameryce powstało nowe dla kobiet starszych a inteligentnych zajęcie. Oto jedno ze stowarzyszeń kolejowych utworzyło posadę „towarzyszek podróżnych,“ które pełnią obowiązki opiekunek i ciceronek przy boku młodych i samotnych kobiet i panien, pragnących dalsze odbywać podróże. Obowiązkiem tych towarzyszek jest czuwać nad bezpieczeństwem młodych osób, ułatwiać im trudy przejazdu i objaśniać warte widzenia miejscowości. Bardzo dobry pomysł. Ileż to młodych osób nie podróżuje, bo nie ma z kim, nie ma opieki właściwej.

— Anna Michaelis, utalentowana poetka, wydała w Baden-Baden tomik ślicznych utworów, w których żyje bardzo czujna dusza na piękno przyrody, wielkie prawdy etyczne, i równocześnie na subtelne objawy dziecinnego światła. Autorka poświęciła tę książkę W. Księżnej Badeńskiej, która w tomie tych poezyj ma znaleźć szereg wspomnień, dotyczących jej domu i ojca z chwil zaburzeń wojennych. Nas zając mogą najbliżej bardzo ładne opisy przyrody i sceny z życia dzieci, pochwycone prawdziwie serdecznie, zabawnie i uważnie.

— W Moguncyi stara się o urządzenie szkolnej biblioteki, w którejby młodzież zakładów ludowych mogła czerpać pożyteczne książki, panna Nauheimer. Zdaje się, że komisya szkolna ułatwi urzeczywistnienie tego wniosku, tem bardziej, że właśnie lekarz okręgowy tamtejszy, dr Balzar, dowiódł w najnowszej swej pracy, że niebezpieczeństwo rzekomego rozszerzenia bakterij przez książki wypożyczane nie jest tak

możliwym, jak to zrazu okrzyczano, mianowicie tam, gdzie książki idą do rąk ludzi zdrowych, co innego w miejscach kąpielowych, gdzie pełno chorych.

— W Szwajcaryi zamierzają kobiety założyć szpital pod opieką jedynie lekarek kobiet, a przy tym szpitalu, którego siedzibą byłby Zurych, otworzyć szkołę pielęgnowania chorych. Budowa gmachu ma się rozpocząć w jesieni, a ofiarne datki na ten cel płyną bardzo licznie i obficie. Zobaczymy, czy i tego szpitala będą się bali biedni, chorzy prostaczkowie, tak niechętnie do dziś, udający się do wszelkiej lecznicy. Może staranność i serdeczność pielęgnowania pogodzi biednych z wiedzą.

— W Anglii uzyskała p. Elsbeth Phillips, pierwsza z kobiet, stypendyum, udzielające wstępu do kolegium w Cambridge, na lat trzy. Panna Phillips ma już za sobą szereg trudnych egza-

minów, zajmujących odczytów w Londynie i zastęp uczniów, których do egzaminów przygotowała. Jest ona szwagierką znanej pani Wynfort Phillipps, założycielki „Women's Institute.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 13 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

## ZNIŻONA CENA.

WYDANIE PIERWSZE  
WSPANIAŁE  
W FORMACIE WIELKIM.

# PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

przekład **X. Jakóba Wujka,**

ZATWIERDZONY PRZEZ STOLICĘ APOSTOLSKĄ,

ozdobione **230** drzeworytami  
podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

# GUSTAWA DORÉ

ZAWIERAJĄCE:

**DWA WIELKIE TOMY**

254 arkusze tekstu

z ozdobami na każdej stronie.

**230 RYCIN**

wielkiego rozmiaru

odbitych każda na osobnej karcie.

Z podziwem i uwielbieniem stajemy przed niezmiernym ogromem tej pracy, w której jednemu artyście powiodło się czarujące i wspaniałe ilustrowanie całego **Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu**, z połączenia sztuki drzeworytnika i typografa z sztuką rysownika-kompozytora powstała Biblia ilustrowana, do jakiej w całym obszarze wydawnictwa europejskiego nie istniało dotąd nic podobnego.

## CENA ZNIŻONA WYNOŚI:

tylko rubli 21 (Złr. 31, — Marek 61), z przesyłką pocztą rubli 23.

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzonym grzbietem, pięknymi wyciskami i złożonymi brzegami, oraz futerałem **tylko rubli 33.**

(Złr. 46;—Marek pr. 78), z przesyłką pocztą rs. 36.

**Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, —ulica Włodzimierska № 4.**

**Treść:** Ś. p. ks. Franciszek Krupiński, przez A. D. (z rysunkiem).—Przed Bogiem, przez Wandę Krasuską.—Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg).—Z Rzymu, przez K. R.—Milczy..., przez W. K.—Pocieszenia. Opowiadanie, przez Aleksandrę Łapińską (dokończenie).—O bocznym skrzywieniu kręgosłupa.—Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,“ arkusz 13. Przekład Z. S.—Przeгляд mód. 33 wzorów i robót. z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.  
Дозволено Цензурсю.—Варшава, 12 Августа 1898 г.